

Kto się boi oceanu

Autor tekstu: **Zbysław Śmigielski**

Fragmenty

(...) Co by nam mogło grozić? Log pokazywał ledwie 6 węzłów, wiatromierz 25, taka sobie szóstka, przy której żagle sztormowe zdawały się tchórzliwą przesadą. Gdyby nie barometr. 986 hektopaskali.

Taki spadek, w takim czasie — to było jak wyrok śmierci. Swoją drogą, na ładzie nawet po odczytaniu wyroku ludzie nie umierają tak prędko, męczą się dłużej. Cele śmierci, apelacje, kasacje. Na morzu nie ma apelacji, pozostaje nadzieja. Ta nadzieja spełnia się na morzu częściej, niż apelacja na ładzie. Morze ma większe i głębsze serce.

Ale na łaskę tutaj należy także zasłużyć.

Nie znam gorszych kłamczuchów niż przyrządy jachtowe. 6 węzłów na logu nie oznacza szybkości, choć tak się zazwyczaj przyjmuje. Log mówi o tym, z jaką prędkością woda napiera na jego propelerek. W zbałaganionym morzu, wobec orbitalnych prądów fal — w przód na grzbietach, wstecz w dolinach - wskazania logu kłamią jak najęte. Żeglarz zaś chciałby znać szybkość jachtu względem dna! Jakim cudem? Błogosławione satelity i pozycja zsyłana z nieba! Podobno z wysokości, na której latają te ptaszki, głębokość oceanu to jakby chuchnąć na pomarańczę.

A wiatromierz? Płynąc z wiatrem, tę skłamaną szybkość logu należy dodać do wskazań wiatromierza, płynąc pod wiatr — odjąć. Trzeba też wziąć pod uwagę, że jacht nie jest napędzany wiatrem rzeczywistym, prawdziwym co do kierunku i siły, lecz wiatrem pozornym, czyli wypadkową — prędkość jachtu też więc jest wypadkową. Wszystko jest wypadkową. I tylko dobry Bóg na zaciemnionym niebie zna precyzyjnie prędkość jachtu i wiatru, i kierunki obu — i wiele innych rzeczy, od których zależne jest życie żeglarza, które nawet mu się nie śnią. Przy takich snach żeglarz nie mógłby spać.

Natomiast barometr jest świętym pośród motłochu, zawsze mówi prawdę, wyłącznie prawdę. Lecz ta jego prawda, jak każda, przeznaczona jest dla tych, którzy potrafią właściwie ją wykorzystać.

Zrobiliśmy wszystko, co należało zrobić, wszystko w zakresie możliwości. Jacht został uszczelniony, ustawiony na kursie z właściwymi żaglami. Na dobrą sprawę nie było już nic do roboty, także i ja z Laurą moglibyśmy się zdrzemnąć. Póki co, ruchy jachtu nie były gwałtowne — nie wiało jeszcze sztormowo, fale nie zdołały się rozbudować. Ktoś jednak musiał czuwać, kontrolować sfiksowany ekran radaru, barometr, wiatromierz, kierunek nadchodzących fal. Najważniejszą pracę wykonywał autopilot, na razie można mu było ufać.

Laura zniknęła w swojej kabinie, sir Henry ułożył się w mesie na szerokiej kanapie. Powiedziałem sobie, że dopóki nie spadnie, będzie okej.

Przytrzymując się handrelingów poszedłem przygotować ubranie sztormowe. W razie potrzeby musiałem je mieć pod ręką. Wykombinowałem przed laty ubiór amerykańskich ratowników morskich, neoprenową piankę podszytą impregnatem, podobną do stroju płetwonurka, lecz znacznie mocniejszą, bardziej wszechstronną. W licznych inteligentnych kieszeniach i schowkach kryły się różne przydatne rzeczy. Nóż, zapalniczka, lampka stroboskopowa, rakiety, pławki dymne, automatycznie napełniająca się kamizelka ratunkowa. Prócz tego racje wody, suszone i prasowane środki odżywcze. W takiej piance można wypaść za burtę w najgorszej pogodzie, byle nie polarnej, przeżyć nawet kilka dni. Co kto lubi: z nadzieją na ratunek albo na dłuższe męczarnie.

Twierdzę z przekonaniem, że gdyby człowiek był racjonalny, to wypadając za burtę w sztormie, powinien by umrzeć w locie.

Wiele rzeczy wymyśliłiśmy od czasu, gdy po raz pierwszy przyszło nam do zakutych neandertalskich łbów, żeby popływać po morzu. Radary i sonary, stresy i GPS-y, trójkątne sfery i komputery — wszystko przydatne wtedy, gdy morze nam na to łaskawie pozwala. Bo gdy założy protest, gdy wścieknie się naprawdę, pokaże nie filmy ze specjalnych efektów, lecz rzeczywisty gniew, wtedy wszystkie nasze wynalazki tracą kompletnie znaczenie. Pozostaje odwieczny pojedynek — statek, ster i człowiek, nagi wobec natury. Jediną skuteczną bronią dla człowieka pozostaje to, co mu natura dała: rozum i doświadczenie. Tak naprawdę

nie liczy się nic więcej. Żaden ludzki wynalazek nie jest zdolny stanąć do pojedynku z naturą. Tę zdolność posiada tylko to, co sama natura stworzyła.

Gdy przyszło to, na co czekałem, przejąłem ster. Wygodnie unieruchomiony na siedzisku usiłowałem sobie wyobrazić, co bym przeżywał na górze, w targanym kipiela kokpicie. Byłem sam i sam podejmowałem decyzje, do tego przywykłem. Mogłem zapomnieć o wcześniejszych kombinacjach, które jak zwykle okazały się do niczego. Sytuacja zdawała się sama wyjaśniać. Zakładałem, że centrum groźnego niżu wędruje równolegle do nas, kursem około 300°, czyli podręcznikowym. Wiatr północno-wschodni pozwalał sytuować położenie jachtu na północ od jego toru. Jeśli nas wyprzedzi, a my utrzymamy kurs, nasze drogi rozejdą się bezpiecznie. Szybkość postępowania niżu jest zawsze wyższa od szybkości jachtu, poza tym niże mają tendencję skręcania ku północy. Oznaką tego będzie wiatr odchodzący w lewo. Chyba że... Chyba że centrum jest na linii kursu.

Do łzawienia oczu wpatrywałem się w fale, w okropne łamliwe „dziady”, zmieniające „Cinderellę” w łódź podwodną i niezbyt walczyłem ze sterem, nie było potrzeby. Jacht brał grzywy raczej pod kil, gnał wraz z grzbietem do przodu. Kiedy grzbiet osiadał, szybkość natychmiast malała. Wystawiany w górę, burtą jak ścianą do wiatru, skręcał niezbyt mocno, gdy zwalniał, prostował kurs na powrót. Moim zadaniem było utrzymanie rufy w stałym położeniu wobec rosnących fal i dbanie, by nie ustawić się bokiem do połyskliwej ściany. Kurs na wiatr, jak wcześniej życzył sobie sir Henry, nie byłby już możliwym. Jeśli nas czeka huragan, w co przestałem wątpić, obszar oceanu ogarnięty depresją musiał być ogromny. Problem polegał na tym, czy trafimy na wiatr 60, czy 80 węzłów. Na fale ośmio czy piętnastometrowe. O czymś więcej strach było pomyśleć.

Na razie wiatromierz pokazywał okolice 40 i 45 węzłów, co oznaczało taki sobie zwykły sztorm. Do miłego przeżycia.

Słońce zaszło, lecz złotawo-purpurowy poblask jakby rozproszony wisiał w powietrzu. Rosnące fale wypiętrzały się nagłą jaskrawością rozrywanych pian, wzbijane wiatrem rozbryzgi wyglądały niby szeroka nawała armatnich wybuchów gasnących i znów wytryskujących. Osiadając, fale ciemniały w czerwień, potem w czerń, gęstą już w dolinach. Tylko wątle pasemko zachodu oddzielało morze od nieba. W niebie kotłowało się podobnie, skrzypiąco grając czarnymi blaskami, żółcią i amarantem. Żałowałem, że nie można tego uwiecznić.

Jacht trzeszczał, pracując z wysileniem, stękały głośno gniazda masztów i opętniki, przez które maszty przechodziły pokład. Płaczliwe jęczenie olinowania świdrowało uszy. Dziwiłem się, że nie słychać żadnego łomotu wewnątrz, nic się nie tłukło, nic nie rozbijało. Ruchem, do którego dawno przywykłem, wparłem z siłą dłoń w górne poszycie nadbudówki. Czekałem. Przechodziły fale jedna za drugą, tłukły mokrymi młotami, dłoń się nie przesuwiała, tkwiła w bezruchu. To był dobry znak. Znakiem złym byłoby wycucie naprężeń poszycia, niebezpiecznym — drgań, co by wskazywało, że konstrukcja jest ryzykownie słaba. Zbyt wiele jachtów zginęło dlatego, że fale rozbiły nadbudówki.

Po niewczasie zdałem sobie sprawę, że próba była chybiona. „Cinderella” została od burt i pokładu wyłożona wewnątrz miękką warstwą izolującej pianki, pokrytej wykładziną. Nadbudówka zaś dobrze była przyspawana do pokładu, na dodatek wzmocniona solidnymi pilersami.

Nie patrząc na zegarek włączyłem podświetlenie przyrządów i białe światło topowe, widoczne ze wszystkich stron. Przepisowe lampy pozycyjne na burtach nie miały żadnego sensu w takiej pogodzie.

Kołysanie na boki wzmagało się, co zaświadczało o rosnącej stromości fal. Oceniałem, że dochodzą do 5-6 metrów, nie mniej. Trochę zimno mi się zrobiło. Wiatromierz beztrząsco pokazywał 50 węzłów. Co będzie dalej?

Według tabeli Beauforta, brakowało trochę ponad 10 węzłów, by mieć prawo użycia określenia „huragan”. Ale można używać określenia „tai-fun”. W tabeli nie jest to wzbronione. I zachichotałem: kiedy cię zarzynają, jakie ma znaczenie nazwa tego kozika?

Dawno doszedłem do zupełnie beznadziejnego wniosku, że sposobem na bezpieczne sztormowanie jest ten, którego nigdy nie zdoła się osiągnąć w pełni - żeglowanie z prędkością fali na jej grzbiecie. Z dwóch rzeczy, które jacht musi nieustannie, raz po raz pokonywać w sztormie, fale są znacznie groźniejsze od wiatru. Stała żegluga na czole fali zapewniłaby niemal pełne bezpieczeństwo, może nawet komfort.

Jest to niemożliwe nie tylko dlatego, że fale są nieobliczalne. Załamują się, dzielą i łączą z sobą, gasną, rozmywają się, powstają w nieoczekiwanych miejscach lub udają powstawanie, nakrywane i tłumione przez inne, większe czy dłuższe. Swoją brzydką rolę spełnia wiatr,

dmuchając z różną siłą, nadając jachtowi zająkliwą szybkość. Sam jacht także się buntuje, nabierając przechyłów, odchodząc od wiatru albo ostrząc na wiatr. Mówiąc po prostu, żaden komputer nie byłby w stanie tych wszystkich czynników przewidzieć na tyle wcześniej, by je uwzględnić w decyzjach przenoszonych na ster.

Lepiej lub gorzej, ale jedynie człowiek może z tym sobie poradzić. Instynkt człowieka, jego doświadczenie. Jeżeli poradzi sobie — uchodzi za zwycięzcę. Jeżeli nie — winnego brakuje. Wszyscy wiedzą, o kim nie wolno mówić źle. Gdyby było wolno, ryzykanci dawno by wymarli.

Pierwsza doba minęła dość monotonicznie. Sir Henry nie skomentował zmiany kursu. W dzienniku zapisaliśmy wiatr 60 węzłów, fale siedmiometrowe. Obaj byliśmy przerażeni: barometr osiągnął 946 hektopaskali. Najpewniej nie mieliśmy odwagi, żeby to skomentować. Wiatr skręcił nie w prawo, na południe, lecz w lewo, ku północy, potem zawrócił. Jacht trzymał się doskonale mimo głębokich przechyłów. Kilka razy został położony na burcie, całkowicie zalany wodą. Musiałynas dopaść wyjątkowo strome fale. Było to już w dzień, kolor wody w bulajach czarniejszy od sumienia bandyty. Myślałem, że tak ciemno może być tylko na dzień, gdzie ocean łączy się z kosmosem. Najgorsze wciąż mieliśmy przed sobą.

Wielki sztorm to groza szarości. Szare niebo zbyt niskie, zbyt bliska szara głębia, tysiącórękie brodate olbrzymy w konwulsjach szarości i czerni, na nowo wciąż rozstrzyganych, nadchodzą szarymi furiami, czernią okrywane, ale ta czerń jest szara, i biel jest szara, i każdy kolor szary. I euforia spadania, beznadziejność wspinaczki — i jacht jest także szary. I najjaśniejsze piany zdają się szare, brudne, jakby kto niewyżętą ścierką chlastał po szarej twarzy. Nie strach, nie przerażenie, to nierealność świata, poszarzałego w strachu, pokurczonego w gniewie, pazurami drze po plecach, najeża sztywny kręgosłup. Wzrok nieustannie wędruje, nic nie ogarnia, niczego nie pamięta, niczego też nie rozumie, bo nic nie wydaje się ważne. Jakbyś był w trzewiach smoka, gdzie wrą piekielne enzymy, co wszystko trawia szarością. Świadomość przenosi się w głąb i ruchy człowieka stają się trudne do pojęcia nawet dla niego samego. Doświadczenie przemienia człowieka w automat, w najsprawniejszą maszynę wszechświata. Wszelkie wynalazki są zaledwie próbą, by człowiekowi dorównać.

935 hektopaskali. Jedyna liczba stabilnie obojętna w chwili odczytu. Na logu - 2, 3, 5, nawet 20 węzłów. Wiatromierz — czasem 10, czasem ponad 100. Przy sterze ciężka praca i dziki wysiłek, wskaźnik 200 stopni, z odchyłem o 5, o 10. To dobrze, nawet świetnie. Lecz nagle skłon na burtę i wszystko diabli biorą: 180, 160, bywa 110 stopni. Kompas oszalał czy ja?

Potem sam, bez pomocy wraca na to, co być miało, 200. Cholera, znów się udało! Wracajcie, diabły, do piekła!

Można obetrzeć mokre czoło.

Przed nami przedziwna dekoracja, tło wirującej sceny. Papierowy ekran przypięty pineskami do światła. Właśnie idzie film o kolorach zachodu. Wspaniały film, nierealny jak wszystkie wspaniałe filmy. Albo jak opera, w której dekoracje to obraz kopniętego malarza. Surrealizm widoków, surrealizm odgłosów. Lecz jaka groźna, jaka wspaniała muzyka! Muzyka tak wspaniała, że krew się w żyłach ścina.

Z uciekającej fali, wciętej w to barwne tło, wiatr zrywa pierzaste strzępy. Wirują, opadają, wznoszą się i giną, uchodząc za grzbietami. Daleko przed linią szkwałów sztorm rozgania zbiórkę pijanych ptaków, która się tylko przyśniła.

- "Cinderella"zrobiona jest ze specjalnego gatunku stali — sir Henry stanął za moimi plecami, wciśnięty poza pulpit nawigacyjny, trzymając się za oparcie siedziska. Słabo słyszałem jego głos, rwany napięciem.- Ma podwójne poszycie burt i pokładu, z podziałem na sekcje. W każdej sekcji znajduje się obojętny gaz pod wysokim ciśnieniem. Przy stewie dziobowej są podobne zbiorniki, ale większe. Przy pawęży też. Dlatego dziób i rufa nie ryją głęboko w falach, jacht szybko wstaje z przechyłów. Mamy bardzo dużo wyporności dodatkowej, Richard, nic nam nie zagraża.

Czyżby więcej się bał, niż ja? Po co to gadanie? Admirale! Zresztą, myślałem, tylko idiota nie bałby się w takich warunkach. Prawie się roześmiałem na myśl, czym dla mnie jest ten strach. Czułem się jak drobny palacz opium, któremu nagle dano heroinę w zbyt pokaźnej dawce.

- Steruj uważnie, Richard, pilnuj fali, rozumiesz?

To w ogóle nic nie znaczyło. Na górze trwało piekło biorących się za bary gigantów,

morze splotło się z wiatrem i niebem w spazmatycznych zapasach na śmierć i życie. Na cudzą śmierć, na cudze życie. Wyjść teraz na pokład znaczyło nie wrócić. Na wiatromierz bałem się spojrzeć. Zresztą nie było po co.

- Trzeba zrzucić apsel! — wrzasnąłem.- Koniecznie! Apsel!

Jacht wyprzedzał rozbuchane grzbiety fal, ze zbytnią prędkością spadał z załamujących się urwistych stoków, na łeb w doliny. Kładł się tam zupełnie płasko, pogrzebany pod wściekłą kotłowaniną kipieli, w bulajach pojawiała się straszliwa czern śsącej otchłani. Nawet gdy był wyprostowany, nie odróżniałem pojedynczych fal od strony dziobu ani rufy. Wiedziałem, że strata masztów to kwestia czasu, jednej złośliwej fali. Może zrzucenie apsla złagodzi przechyły, pozwoli na to, by fale nas wyprzedzały.

Mimo tej dodatkowej wyporności jacht wstawał z trudem, dygocząc niby beczka zgniatana butem olbrzyma, ohydnie trzeszcząc. Wciskany w wodę kadłub, zbyt gwałtownie wyhamowywany, z żaglami pełnymi wiatru, przenosił na maszty niewyobrażalne obciążenia, które musiały okazać się zgubne, bez względu na solidność kolumn i olinowania. To, co było zaletą jachtu w dobrej pogodzie, stawało się przekleństwem w huraganie, mogło też okazać się wyrokiem.

Wszystkiego na raz mieć nie można. Głęboko zanurzony kil „Cinderelli”, dobrze wyważony, gwarantował stabilność kursu, odporność na załamania fal. Z pewnością jednak nieśliśmy zbyt wiele żagli, które za wszelką cenę należało zredukować. Za wszelką to za wszelką. Gdy nie zrobimy tego sami, ocean robi za nas, ale bardziej brutalnie.

- Apsel! — wrzeszczałem.- Trzeba! Za często nas kładzie!

Wszelkie przyrządy przestały być przydatne. Tego nie można opisać. 90 czy 100, czy 120 węzłów nie sprawia już różnicy, z człowieka wyparowuje strach, jeśli zdołał się w nim w ogóle narodzić. Strach, wyobraźnia — nie dorastają do sytuacji, nie zajmują myśli. Bo o czym można myśleć, czego się bać w lufie armatniej na chwilę przed wystrzałem?

Jedno okropne jest wtedy, oczekiwanie. Najgorsza tortura dla człowieka. Jakby naciągał ktoś strunę. Skrzyp po skrzypie. Sadystycznie, powoli. Są struny, które pękają. Nie wszystkie.

Oddałem ster, co sir Henry przyjął z widoczną niechęcią. Nie godził się z moim zamiarem, nie mógł mi też go zabronić. Rozumiał, że nie ma innego wyjścia. Zostawiłem go w nawigacyjnej, wskoczyłem w czeluść mesy. Jacht pochylony w lewo nurkował, dziób miałem poniżej stóp. Skok nie był daleki, spotkaliśmy się w drodze z podłogą. Za moment dziób wjedzie ponad głowę, ale to nic nie znaczy. Na kolanach, czepiając się byle czego, dotarłem do swojej kabiny.

Nigdy nie byłem pedantem, dlatego moje niebo wyglądało jak po inwazji pijanych diabłów. Jezu, znaleźć co trzeba. Sam byłem niby pijany, ze skacowanym mózgiem. Jak szalony grzebałem w bałaganie, rozrzucając go na wszystkie strony. Wreszcie trafiłem na potrzebny pakunek. Podobnie na ślepo, wierzgając i stękając, wkładałem swoją piankę.

Zapiąłem zamek, rzepy, sprawdziłem rutynowo, założyłem parciane szelki pasa bezpieczeństwa. Wciągnąłem na łeb kominiarkę z kompletem, wysokie obcisłe buty. O rękawicach zapomniałem.

Wszystko tonęło w bulgoczącej szarości, wszystko było nieważne, zaledwie przybliżone. Wskazania przyrządów, kompasu, rozsądku. Nie miałem wątpliwości, że cokolwiek zrobię, może być decydujące. Dla mnie i dla jachtu. Ale człowiek nigdy o tym decydującym nie wie na pewno. Czy to jest właśnie to, czy coś innego. We łbie huczało mi tak samo jak na gołym pokładzie.

- Musi pan zamknąć za mną właz! Kiedy wyskoczę do kokpitu, najpierw będę wczepiał pas bezpieczeństwa, włazu nie zdążę zamknąć.

Było to oczywiście niby wygrana w totka. Mogło się zdarzyć, że czeka mnie pech, trafię akurat na falę łamiącą się nad pokładem. I nic nie zdążę zrobić, nawet zaczepić pasa. W pół sekundy, w ćwierć, wiek wcześniej nim zdołam to pojąć, znajdę się wiele metrów od jachtu. Neptun osobiście popuka mnie w czoło. Swoim wspaniałym widelcem.

Na wszelki wypadek łyknąłem porcję Glenn Livet, chciałem na koniec mieć w gębie jakiś przyjemny smak, bo sól z wodorostami nie bardzo mnie zachwycała. Wiedziałem, że tam na górze opiję się do rozpuku.

Wpadłem do kokpitu z zamkniętymi oczami, prawą ręką chwyciłem stalową poprzeczną linę, rozpiętą nad gretingiem, lewą zatrzasnąłem na niej karabińczyk z pasa. Zdawało mi się, że jestem szybszy od myśli, ale jacht położył się w tym czasie na burtę, schował się pod grzywaczem. Potworny wodospad ułożył mnie poziomo, zawisłem więc prostopadle do pokładu,

najpierw na prawej ręce, palonej piekielnym bólem, potem jednak na pasie. Tak, byłem szybszy o pół sekundy. Pół sekundy — i wieczne kołysanie.

Gdy jacht się wyprostował, trzasnął mnie w brzuch zrębem kokpitu, dołożył siodełkiem sternika. Wczołgałem się, wciągnąłem na podłogę, na greting w kokpicie, włożyłem oba łokcie pod stalową linę. Nic jeszcze nie zdołałem zrobić, zaledwie udało mi się nie utonąć, ale musiałem odпочać. Nie miałem pojęcia, że strach tak męczy.

Śmieszne było pomyśleć o sztormie na Ławicy Bahamskiej albo na Great Bank. Takie sztormy Bóg zsyła dla harcerzy, by zdobywali sprawności. Nigdy więcej nie określałem ich jako huragany.

Przyszła kolejna fala, kolejny przechył ku przepaści za burta. Łokcie nie wytrzymały, zawisłem w przelewającej się wodzie jak spławik w wodospadzie, przytrzymany żyłką. Gdy fala przeszła, jacht nie zdążył się wyprostować przed nadejściem następnej. Wyższa była i dłuższa, twardsza i bardziej wściekła, zabrakło mi tchu w płucach. Otworzyłem oczy, zobaczyłem czerń bez cienia poświaty. Przemknęła myśl, że się utopię wisząc metr nad pokładem. Wiedziałem, że za moment zacznę tracić świadomość.

Spadłem, nogi zaplątały się w linkach sztormrelingu, zwisłem głową w dół do kokpitu. Odczułem słabość, zwymiotowałem. Glenn Livet, żółć i sól. Pod brzuchem kabestan szotowy. Wtedy przyszła chwila wytchnienia. Pojaśniało, mogłem ujrzyć pofałdowaną rozległą dolinę o barwie zgniętego mięsa, dymiące plamy jaskrawych pian, dalej wznoszącą się ścianę. Ta niepojęta, błyskawiczna powolność. Rozwiane włosy wariata, biegnącego z armatą pod pachą.

Wariat ważył miliony ton. Jeszcze zdołałem złapać końcówkę jakiegoś szota, owinąć wokół dłoni. Znów zrobiło się czarno. Wariat wpadł prosto na mnie, wystrzelił z tej armaty. Myślę, że wszystko się zgadza, tak bym się właśnie czuł w środku wybuchającej bomby.

Po którejś z rzędu nauce pływania i fruwania ulokowałem się na klapie bakisty, z kolanami pod naprężoną liną. Gorączkowo pracowałem, by zwolnić roler apsla. Daremnie. Żagiel wypełniony po brzegi huraganem jak miska gęstą zupą, ani myślał się zwijać. Ogarnęła mnie rozpacz. Jasne było, że nie dam rady spuścić go fałem po bezanmaszcie w dół i opanować na pokładzie. Niewiele ponad 5 metrów kwadratowych, zwijane wiatrem w najdzikszych konwulsjach — starczy, by zanieść mnie do Ameryki. Wszystkie możliwości przeleciały mi przez głowę, tylko jedna dawała szansę. Po prostu zwolnić szot apsla, niechaj wiatr go porwie na strzępy, niech go diabły mokre zabiorą.

Przesunąłem się w kierunku knagi z obłożoną na niej końcówką szotu apsla, ale nic nie zdążyłem zrobić. Wydało mi się, że pod jachtem otworzyła się dziura do samego piekła. Spadaliśmy.

Uderzenie było okropne, jak bym trzasnął o bruk. Łokciami i kolanami. Głową, udami, brzuchem. Natychmiast runęła na mnie niagara z mokrych kamieni. Czułem, że jacht kładzie się pod nią z łomotem, dzikim hałasem, że napręża się pas bezpieczeństwa, szelki wcinają się w ramiona. Gdybym mógł, trzymałbym się zębami, lecz niczego nie zdołałem pochwycić. Szarpnęło mną z porażającą siłą, z taką samą wstrzymało. Potem poczułem się lekko, swobodnie - i już wiedziałem, że nie jestem na jachcie, który pozostał daleko od unoszącej mnie fali.

Nie, strach nie zbudził się wcale, za szybko to się działo. Gdzieś w środku pojąłem, że chyba mnie już nie ma, że wszystko skończone, nic nie warto robić. Ale byłem zajęty wierzganiem, ochroną płuc przed wodą. Kretyńskim zdziwieniem, że niby dokąd lecę, dlaczego jestem spocony, czemu jest tak ciemno.

Nagle złapałem coś w obie dłonie, kurczowym chwytem szaleńca. To była wyrwana stójka sztormrelingu, w który się zaplątałem. Przez plecy przeleciał żar, jakby je batem rozcinano, potem fala przeszła. Wisiałem za burta, na stalówkach sztormrelingu. Mój ciężar, zwiększony impetem wodnej kaskady, wyrwał kilka stójek, wyłamał je i pogiął. Nie musiałem sprawdzać, pas bezpieczeństwa puścił. Zerwał się, puścił, bo jakiś dureń bez wyobraźni ustalił normę dla huraganu. A przecież nawet Bóg tego nie ustalił.

Wisiałem tak, wsparty plecami o linki, zaczepiony pazurami o zrąb fałszyburty. Wiedziałem, że nikt mi nie pomoże, sam nie zdołam wdrapać się na pokład. W życiu i śmierci nie zdołam.

Spojrzałem w górę, ku pokładowi. Jacht nie miał bezanmasztu. Raczej miał kawałek. Reszta wisiała jak ja, na stalówkach, na olinowaniu, nieco poniżej. Kikut ułożył się wzdłuż burty, huśtał się jak taran. Pomyślałem, że gdy jacht się pochyli i przyjdzie fala od rufy, ten

taran mnie zabije. Nic więcej nie pomyślałem, bo rufa zaczęła się wznosić.

Jacht zatoczył się pijacko, ruszył do przodu stęknąwszy ze zgrozy. Ujrzałem zdumiony, że ściana załamała się przed kasztelem, wślizgnęła pod kadłub i tylko wielkie jęzory wylizały pokład. Przechył był dostateczny, by złapać rękami kabestan, położyć się wzdłuż kokpitu. Niewiarygodne, jak szybko owinąłem końcówkę pasa wokół liny asekuracyjnej. Jakim cudem zmieniłem karabińczyk na solidną szekłę? Kiedy nadeszła kolejna twarda, kamienna fala, kolumna bezanmasztu znalazła się na poziomie pokładu. Topiąc się, łykając wodę, zacząłem rozpaczliwie mocować ten kikut linami do knag i kabestanów. Pozostawić go za burtą nie było można, rozbiłby jacht. Nie miałem pojęcia, gdzie są nożyce do stalówek.

Po apslu nie został żaden ślad. Po bezanmaszcie nędzny strzępiaty ułomek. Resztką topsztagu wiewała na grotmaszcie. Jacht zdawał się dziwnie pusty.

Znacznie się uspokoił bez apsla i bezanmasztu. Zdecydowanie zwolnił i choć grzywacze dopędzały go częściej, nie każdy się nad nim załamywał. Uznałem za możliwe, że zwiększona wyporność rufy i dziobu wpływała na zmniejszenie oporów kadłuba, dlatego fale łatwiej wchodziły pod stępkę. Później doszedłem do wniosku, że grube maszty w połączeniu z wysoką wolną burtą same z siebie zapewniały „Cinderelli” sterowność. Kliwer na dziobie stabilizował kurs i położenie wobec fal — apsel był nieszczęściem.

Pracując na deku, w ogóle nie myślałem. Bałagan olinowania, rozbryzgów, poświęty i ciemności to niezły tłumik umysłu. Kiedy skończyłem z bezanmasztem, chciałem zwinąć się w kacie i umrzeć. Mimo otwartych oczu niewiele widziałem, bolało mnie całe ciało, wszędzie, każdy strzępek pulsował bólem. Przez nogi, ręce przechodziły kurcze, bolesne, paraliżujące. Miałem szczęście, że nie dopędził nas jakiś groźny „dziad”, w rodzaju tego, który złamał maszt.

Tkwiłem w kokpicie pod osłoną kasztelu, niezdolny do mrugnięcia powieką. Pas bezpieczeństwa skróciłem wcześniej, owinąłem wokół asekuracyjnej stalówki, pod którą wcisnąłem kolana. W tej pozycji zalewające jacht grzywacze mogły mnie wprawdzie utopić, ale nie mogły stamtąd wypłukać, chyba nieżywego.

Wtedy wymyśliłem, żeby koniecznie nosić w piance metalową piersiówkę z brandy albo rumem. Bo w tej ciepłej wodzie, mimo grubej pianki, zacząłem trząść się z zimna. Długo się zastanawiałem, czy zdołam przesunąć tyłek pół metra do włazu. Cholernie daleki wydawał się ten właz.

Tkwiąc głęboko w kokpicie jak lis zapędzony do jamy, robiłem to samo co lis, trząsałem się i bałem. Gdy rufa pędziła w górę, widziałem przed sobą pulsujące plecy odchodzącej fali, z czarnymi plamami niby worki węgla. Dolinę skupiającą wszystkie ryki i grzmoty, wygiętą w łuk, o którym wiedziałem, że za moment wystrzeli. Po każdym strzale wzbijały się w powietrze te dzikie ptaki-piany, rozszarpywane przez wiatr. Powtarzałem sobie, że jeśli się tak boję, to po cholere tu jestem, czy ktoś mnie zmuszał do rejsu? Wódka tak samo szkodzi, ale kto jej nie pije.

Jacht szedł już równiej, zaprzestał myszkowania, wielkie fale wnosiły go w górę, mniejsze rozbijały się u burt, okrywając kadłub wściekłą bielą. Porywy wiatru wpychały oddech z powrotem do gardła, chwilami zamiast płuc miałem balon. Każdy haust powietrza napełniał usta wodą.

Sir Henry musiał mnie obserwować przez bulaj, ponieważ właz otworzył się we właściwej chwili. Zwaliłem się w korytarzyk z łomotem podciętej sosny, dopiero leżąc odkryłem, że jęczę przy każdym wydechu.

Wybiegła Laura, krzyknęła. Rzuciła nią o ściankę i też zajęczała, jakby mi wtórując. Oczy miała jak ziemniaczane placki, dobre, choć przypalone.

- Prawa noga — chrypiałem. — Kurcz. Wal pięściami, wal z całych sił.

Waliła kantami dłoni o wiele za słabo, to była pieszczota, nie walenie. Kurcz łamał mi łydki i uda, zgrzytał moimi zębami. Przyglądałem się dłoniom, szczególnie prawej. Marnie wyglądały obie, pomarszczone, porozcinane, ale krew ledwie się sączyła. Słona woda działa jak jodyna, za to bardziej boli. Bolało piekielnie, rwało i szczypało. To był znak, że żyję. Wolałbym inne znaki.

- Bezanmaszt — bełkotałem. — Poszedł za burtę. Fala. Przywiązałem liną.

Przecież było słyhać, jak tłucze o kasztel, o pokład. Rzucał się niby rekin tłuczony bosakami. Może źle zrobiłem? Nie istniała możliwość, by go unieruchomić. Pomyślałem leniwie, że trzeba tam wyjść jeszcze raz, z nożycami do cięcia stalówek. Złamany bezanmaszt trzeba wywalić za burtę, utopić w oceanie. Albo oplątać linami, wybrać na kabestanach. To drugie trudniejsze i mniej skuteczne, nawet ryzykowne. Zgadnijcie, na kogo padnie?

- Widziałem — sir Henry zmagał się ze sterem. — Widziałem, jak on się łamał. Myślałem, że już po tobie, leciał dokładnie na twoją głowę.

Powinien był dolecieć, jeśli mam znów tam iść. Sir Henry wrzeszczał, by go słyszano. I ja chciałem wrzeszczeć, lecz z bólu. Coś gadałem, robiąc przerwy na oddech, za mną Laura powtarzała głośniejsze. Chciałem powiedzieć, że nie ma sensu pilnowanie steru. Tam na górze wybrałem kliwer oboma szotami do osi symetrii, jacht zachowuje sterowność i robi te kilka węzłów, nie trzeba mu przeszkadzać. Pozostawało tylko polegać na apelacji — do Boga, który rządzi oceanem.

- Wódy — chrypnąłem po polsku. — Gorzoły. Albo utnijcie mi łeb. Bez łba można żyć, bez gorzoły nie można.

Laura popychała mnie w kierunku mesy. Gdy jacht zanurkował, gwałtownie przegłębiając dziób, sam do mesy wleciałem jak do wilczego dołu. Ryczałem niby ranny karaluch. Spadłem z trapiku, walnąłem głową o stołową nogę i dobrze mi się zrobiło. Zapadałem w sen, bezczucie, kręciła się karuzela, z której mnie coś wypychało. Nie opierałem się, leciałem. Karuzela kręciła się, kołysała, nie potrafiłem odróżnić, czy to jacht się kołysze, czy to rozkołys mózgu. Zupełnie bez powodu zachciało mi się śmiać, na co też siły nie miałem, ani odrobiny. Nogi, ręce i głowa, plecy, piersi, czort wie co, pulsowały piekłem ognistego bólu. Wierzganie, machanie, wrzaski przynosiły ulgę.

Wiedziałem, że to Laura zdejmuje ze mnie piankę, ostrożnie, z trudem. Słyszałem, wzdychanie — oddychanie, było mi przyjemnie. Nigdy mi tak nie było, gdy dotykały mnie kobiece dłonie. Kto wie, czy nie byłem w niebie. Skrzydełka nad głową Laury nie były jakoś widoczne.

- Aniołku, archaniołku, wal mnie po tej nodze. Wal mocno, mocno.

- Jezus, Rich, jak ty wyglądasz. Masz takie sińce, że krwawią. Cały brzuch, piersi. Plecy też, o Boże. Dłonie pocięte chyba do kości. Rich!

- Zostaw go w spokoju, Lauro. Załóż duże plastry na otwarte rany, przykryj go kocem, niechaj śpi. Na razie nic nie można zrobić. Spróbuj, może zechce napić się czegoś mocniejszego.

- Ale co on tam przeszedł na pokładzie!

Co przeszedłem? Gdzie przeszedłem? Wiedziałem, nim zasnąłem, potem zapomniałem.

VI.

Oglądałam kiedyś pewien obraz — nie pamiętam, gdzie i kiedy. Możliwe, że sama go w wyobraźni namalowałam. Wiele razy, śniąc, odtwarzałam go sobie.

Nieokreślona przestrzeń w wieczornej mgle, panorama rozległych wzgórz, niby gromada najeżonych jeży, kępy scherlanych zarośli, pęki traw, podtrzymujące się wzajemnie wątłe drzewka, sączące soki z ran. Martwi żołnierze w barwnych poszarpanych mundurach. Złamany karabin, rozbite działo, kulawe na jedno koło. Pochyloną armatnią szyję krwawym bandażem spowija poległy sztandar. Z boku gdzieś, tak jakby bez znaczenia, najważniejsze: oficer z twarzą ukrytą w dłoniach, siedzący przy zabitym koniu. Wszystko w niewyraźnej dymnej szarości, przetarte brudną ścierką. Gdy sobie to odtwarzałam, prawie czułam okropny smród śmierci, umęczonej pracą i zadowoleniem.

Nie wiem, czy obraz tak właśnie się nazywał, czy może sama wymyśliłam tę nazwę lub tylko skojarzyłam — „Zmęczenie po bitwie”. Wiele razy przypominałam go sobie, z sensem i bez sensu.

Po sztormie, huraganie, znów mi to przyszło na myśl. Zmęczenie po bitwie. Taka sama brudna szarość, smród, pobojowisko. Z obrazu nie wynikało, że bitwa została przegrana. Oficer płakał nad tymi, którym nakazał umierać.

My, po naszej bitwie, nie musieliśmy płakać. Udało nam się przeżyć za cenę przyzwoitą. Za maszt z przyległościami. Za okropne rany Richa. „Cinderella” tak naprawdę ucierpiała niewiele. Starczyło sprzątnąć, usiąść, zwyczajnie wypoczywać.

No i właśnie usiadłam.

Patrzyłam w nieokreślona przestrzeń rozchwianego wciąż oceanu, zamgloną zgagę wieczoru. W panoramę rozległych nastroszonych wzgórz. Jeże maszerujące. Słońce w aerozolu. Reszta to tylko plamy, piany i kolory. Wszystkiego można się dopatrzeć. Tyle, że wzgórze ruchome, w ruchomości wciąż groźne. Ja nie chowam twarzy w dłoniach. Nie mam poczucia ani zwycięstwa, ani klęski. Mój koń nie został zabity. Lecz moja wina była taka sama, jak wina oficera.

Ocean nie uspokoił się jeszcze. Od rufy nadchodzą te czarne pagóry, beltają się, pienią, załamują ręce pod jachtem, wyprzedzają go, nikną w półślepej oddali. Lecz po nich przychodzą następne, następne, bez końca, rytmu, nadziei. Kiedyś tak samo bez końca umiałam na to patrzeć, zachwycać się, podziwiać. Dziś patrzę z niepokojem. Jacht syczy i szumi, jakby mrucał przekleństwa pod nosem, zwalnia i przyspiesza, raz zadziera dziób, raz rufę. Przyspiesza z rufą w górze, zwalnia z dziobem wzniesionym. Czasem zapada się w falę, miękko ląduje, jak narciarz syjąc bielą z boków i za sobą. Ocean szybko marszczy się cieniem, mamrocze narastającym rykiem rodzącej się gniewnej ściany - wyczuwa się w tym rezygnację, propozycję ugody: no dobrze, udało wam się, udało.

Wiadomo, ugoda krótka, do następnego razu.

Siedzę tak swoim zwyczajem, słucham oceanu. Więcej słucham, niż patrzę. Nie wiem, jak to powiedzieć — boję się, lecz nie odczuwam strachu. Od wielu godzin mężczyźni śpią umęczeni w kabinach. Rich pojękuje tam głośno, stęka, czasem niezrozumiale krzyczy. Można by rzec, że trzymam wachtę za nich. Najślabsza, najmniej zmęczona. Nie byłam wojownikiem. Wciąż jestem przywiązana, wciąż w pasie bezpieczeństwa. Ocean może wyciągnąć po mnie mokrą łapę, dmuchnąć szatańskim szkwałem. Głupio byłoby dawać mu okazję bez żadnego powodu.

Ostre szkwały znów poczynają dmuchać, choć nie tak bardzo nagle. Bywa, że osiągają nawet 30 węzłów, sprawdzam na wiatromierzu. Kracząc, nadlatują zza pogrubionej fali, jakby ją unosiły za włosy gęstymi blond rozbryzgami. „Cinderella” mało jednak zwraca uwagi na szkwały, nie kłania się na powitanie, lekceważąco śwista olinowaniem. Niesiemy tylko fok-żagiel, wymieniony wcześniej w miejsce sztormowego, bo forsowanie na niestałej fali byłoby całkiem bez sensu. Nadmierna prędkość na posztormowym rozkołysie to wyścig furmanek po wyboistej drodze. Nie pozostawia miłych wspomnień.

- Ktoś musi pilnować — pojękiwał Rich. — Jesteśmy na trasie z Europy do Ameryki Południowej, napotkamy statki. Dużo.

Ma wysoką gorączkę, najczęściej śpi. To sen żołnierza po bitwie. Śpiąc, rzuca się, stęka, jakby nadal walczył. Karmię go rutiną i antybiotykiem, witaminami. Co kilka godzin przecieram wilgotnym ręcznikiem, bo okropnie się poci. Jeść nie chce, jedynie pić. Piłby za to bez końca, przytomnie lub nieprzytomnie. Okropnie się boję o niego.

I barometru pilnuję. Wskazuje 980. Wróżby są pomyślne. Przedtem leciał w dół jak szalony, teraz się wspina z mozołem. Od najniższego stanu wspiał się 65 kresiek. Nie wiem, czy to dużo czy mało. Henry powiedział, że rekord wszechczasów — maksymalna różnica osiągnęła ponad 110 kresiek. Nasz barograf podobno tyle właśnie zaznaczył na wykresie. Co do wiatru, Henry twierdzi, że sami nie możemy określić dokładnie. Dowiemy się wtedy, gdy będzie po wszystkim.

Po co się dowiadywać, kiedy już po wszystkim?

Więc tak sobie siedzę w kokpicie. Dobrze się czuję, lecz zarazem ciężko. Obsłuchuję ocean jakby jakimś radarem, który mówi mi wszystko: że fala rośnie, nadbiega, że łamie się tuż przed rufą albo daleko przed nią, że jacht przyspiesza z westchnieniem, śpiewa drwiąco wantami. Czasem ogarnia mnie ciepła struga przelatującej fali, stającej dęba przed dziobem i wędrującej ku rufie. Przepływa, jacht osiada, resztki wody z paniką tłoczą się u fałszyburty, uciekając szpigatami z powrotem do oceanu. Jakby zgraja szkolnych łobuzów wylatywała na przerwę.

Ale raz się porządnie wystraszyłam. Fala rzuciła na rufę wielki kłęb grubych oślizłych wodorostów, błyskający uwięzłymi w nim rybami, krabami, skorupiakami. Kłęb zaczepił się o nadłamany pień masztu, zaczął wiewać miękkimi wstęgami. Aż wrzasnęłam, że to jakiś potwór morski skoczył na jacht, bo te ryby błyskały niby ślepią, macki sięgały już po mnie. Ciężko się napracowałam, wywalając to bosakiem za burtę. Spociłam się całkiem po mysie, z tego strachu, z tej wstrętnej roboty. Jak bym stajnię czyściła, choć smród inny, wykręcający nos.

Długo myłam, płukałam ręce w zaburtowej wodzie.

Potem napiłam się kawy, której sporo zostało w termosie. Nie narzekałam tym razem, że głupia kawa, „marynarska”, z hojną dawką szczypliwego alkoholu. Umiałam już nawet pluć po marynarSKU.

Siedziałam, słuchałam. Siebie i oceanu.

Bardzo przywykłam do takiego siedzenia, szczególnie w łagodnej pogodzie, gdy czuje się wielką dal i niewstrzymany pęd jachtu. Tak dobrze mi, tak swobodnie w obecności morza. Nawet, kiedy mi ciężko, nie odczuwam ciężaru. Znika poczucie czasu, znika poczucie miejsca,

jest chwila, która trwa. Która trwa wiecznie. Mój sen bywa przedłużeniem jawy, jawa przedłużeniem snu. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co jest prawdziwe. Prawdziwe jest to, co trwa, co się nie kończy — morze widoków, kolorów, niepowtarzalnych wrażeń. Kiedyś umiałam żyć bez morza, teraz mi się zdaje, że wcale nie żyłam.

To chyba musi być śmieszne, bo nigdy nie myślę o sobie jak o żeglarce - bo pewnie żeglarką nie jestem. Rich, Henry — tak, oni są ludźmi morza, żeglarzami. Kim jestem ja? Sublokatorką morza. Sublokatorką życia. Bez praw, bez przydziału. Mimo, iż byłam z nimi, żeglowałam jak oni, po tym samym morzu, nie czułam się do nich podobna.

Siedziałam, siąkałam nosem. Z tej ciężkości siąkałam. Południe było ciepłe, jakieś gęste, duchliwe. Zarazem też zimne. Ciepła była woda i ciepłe powietrze. Lecz wiatr nie był ciepły. We mnie, w środku, też ciepła nie było. Dlatego smakowała mi kawa z alkoholem. Głęboka jest mądrość starych marynarzy - jak ocean, w którym spoczywają.

Nie było we mnie ciepła, kiedy schodziłam w dół, do rozgrzanej kabiny. Kiedy ślizgałam się w przód po nachylonej podłodze i kiedy się cofałam przed podłogą wznoszącą się do góry. Trzęsłam się.

(...)Czy to przerażające? Może głupie po prostu.

Zerknęłam do kambuza, choć nie było potrzeby. Wcześniej przygotowałam co trzeba. Posiłek mógł być gotów w ciągu kilku minut, mam swoje sposoby. Na razie obaj mężczyźni spali.

Przesłony zdjęto z bulajów o świcie, gdy przesilił się sztorm. Szare ziarniste światło obrysowywało przedmioty i meble. Czaiły się w półmroku, jak wystraszone zwierzęta. Tu, na poziomie morza, w bulajach, tkwił widok martwej szklistej wody, na pozór nieruchomej. Wymiana fal, kotłowanie w dolinach, nie były stąd widoczne. Zza burt dobiegało drapieżne głaskanie, głodny tygrysi pomruk. Jacht zjeżdżał z czoła fali, mozolnie wspinał się na kolejny grzbiet. Żółty, raczej brudny promień wiszący spod świetlika, szybkimi wahaniami kroił szarość jak nóż.

Rich znów, oczywiście, skopał kołdrę z koi. Leżał gulgocząc, chrapiąc, jeden wielki siniec. Plastry na piersi, brzuchu, na rękach i nogach. Ręce zresztą w bieli, dwa grube niemowlaki. Gdy weszłam do kabiny, spościłam się tak samo.

Kurtkę zdjęłam wcześniej. Teraz szybko ręcznik, pół-suchy, pół-wilgotny, który za chwilę można było wyżyć. Okryłam go kołdrą, nie słuchając protestów, wyrażanych gestami i mrukami.

- Wentylatory w mesie i na korytarzu włączone — powiedziałam wyraźnie.- Do diabła, Rich, nie możesz zachorować!

- Nic mi nie jest — wydusił.- Tylko nie mogę chodzić.

Nie chciało mi się śmiać, pręcej płakać. Przypomniałam sobie jego ręce, kiedy wychodził po raz drugi na pokład w huraganie. Musiał założyć rękawice, zbyt ciasne dla dłoni w bandażach. Więc zdarł te bandaże, wcisnął do rękawic dwa grube tampony z gazy, nasycone rivanolem. Spiął paski w przegubach i poszedł.

Henry milczał. Milczy zawsze, gdy słowa nic nie mogą znaczyć.

Ja się głośno modliłam i cicho płakałam. Patrzyłam przez bulaj, niewiele widziałam. Pokład przesłaniała kipieląca się woda, skłębione kolory - raz po raz i na długo. Słyszałam grzmotliwy ryk huraganu, łoskot szaleńców tłukących siekierami po dachu. Modliłam się. Cóż więcej mogłam zrobić? Prosiłam dobrego Boga, by nie dał mu zginąć. By dał mu wrócić z powrotem.

Miałam chwile zwątpienia. Gdy jacht wspinał się dziobem na prawie pionową falę, widoczną tylko w części, bo bulaj był zbyt mały. Za rufą rosła przepaść niby czarna dziura, z której nic się wydostać nie może. Przepaść - siodło potwora, jeźdźca Apokalipsy. Białe płyty, niktne i powstające od nowa, potężne strumienie i wodospady, lawiny skalnych olbrzymów toczące się z grzechotem. Wszystko gęstniało jak pudding w cieniu rodzącej się groźnej ściany. Wypiętrzała się, nawisała nad głową, potem runęła.

Wiem, że zaczęłam krzyczeć, gdy wszystko ogarnął mrok. Gdy zobaczyłam nieludzką twarz przyciśniętą do grubej szyby. Martwe oczy jaszczura, miazdzone wargi, straszny nos kłowna. Ten mrok ogarnął mnie całą. Ocknęłam się, kiedy jacht wychodził spod wody, szalonym szczupakiem rzucał się w bezdenną przepaść. Przeleciałam po podłodze korytarzykiem pomiędzyabiną nawigacyjną, kambuzem, przez mesę już w powietrzu, bo korytarz urywał się na schodkach — trzasnęłam dziwnie jakoś, barkiem i plecami o pilers,

potem luk dziobowy. Nie odczułam bólu, tylko rezygnację, głęboką jak umieranie. Wtedy też, równocześnie, rzucona z burty na burte, obijana o meble, o ściany, odczułam ból i zrozumiałam, że żyję. Że znów ocaleliśmy.

To jest świadomość przejmująca i słodka, paraliżuje. Och, jak się odczuwa życie! Hałas serca w uszach, ból obijanego ciała, nawet ostre szczypanie moczu w pachwinie -wszystko jest rozkoszą. Człowiek nie jest zdolny do samodzielnego ruchu. Długo. Zastyga w posąg wdzięczności.

Na lądzie, w dawnym moim czasie, niczego nie odczuwałam tak silnie. Ani radości życia, ani strachu przed jego utratą. Inny był tamten czas, zupełnie inne życie. Wydaje mi się, że takie zwyczajne rzeczy, jak pragnienie i głód, zmęczenie lub ochota do pracy — na morzu są o wiele głębsze. Nie wiem, jak by to określić. Na przykład strach, że się jacht rozleci, że człowiek zginie bez ratunku — ściska do samych trzewi, prawie odbiera rozum. Lecz nigdy do końca. Zawsze jest wyraźny margines, jakby granica strachu. Poza tą granicą człowiek przestaje się bać. Może to fatalizm, pogodzenie się z losem wobec tak wielkiej potęgi. Może po prostu pogodzenie z naturą. Tak, boję się, jestem przerażona, zarazem spokojna. Gdybym wypadła za burte, umarłabym bez strachu. Strach by się rozplątał jak kropla krwi w oceanie. Podobnie jak ja sama.

Dziwne to sprawy, paradoksalne, nie całkiem do pojęcia. Chociaż wydaje mi się, że pojmuję je coraz lepiej. Z każdym doświadczeniem. Pojmować i opowiedzieć - to dwa odmienne problemy.

Potęga oceanu polega na tym, że wszystko się w nim zrodziło, wszystko w nim się skończy. Wobec jego potęgi daleki świat niepotrzebnych, strasznych ludzkich zasad, żalosnych kamuflaży, przestaje obowiązywać, w ogóle przestaje istnieć. Człowiek nie stosujący zasad staje się w tłumie bestią, lecz w samotności świętym. Bestię i świętego rodzi brak pokory. Pokory uczy ocean.

Tak patrzyłam na Richa, w pokornym, długim milczeniu. Nigdy nie nazwę do końca, czym było to milczenie. Czas mijał, jakby w miejscu stał. Kiedyś tak, jeszcze w szkole, patrzyłam na mapy egzotycznych krain, gdzie wszystko było jasne, nic nie zrozumiałe. Pytać, jak teraz, nie miałam kogo. Nie pytałam, patrzyłam. Nie oczami patrzyłam. Nie myślami myślałam. (...)

- Rich, musisz coś zjeść, słyszysz? Koniecznie. Zrobię ci bulion z jajkiem, mamy jeszcze jajka. Chcesz bulionu?

- Idź na dek — wystękał. — Pilnuj kursu. Idź. Tu przechodzi dużo statków, trzeba uważać. Idź na dek. Albo pomóż mi, ja pójdę.

Ocean był pusty, beznadziejnie szary. Niby gruzowisko ogromnego miasta, rozbijanego potwornym kataklizmem. Rozkołys wędrujących brodatych pagórów jak zaciemniony grafitem, popiołem wygasłego pożaru. Chrapliwy ciężki oddech po wielkim wysiłku, który nie całkiem się skończył. Wagi jednego pagóra nic na świecie by nie udźwignęło.

„Cinderella” z niechętnym zasapanym pośpiechem zjeżdżała w stłamszone doliny, wypełnione strzępami brudnych kakaowych pian. Potem unosiła się w górę, ociekając bryzgami. Te bryzgi ostro i gniewnie przemywały mi twarz. Żaden chemik od łez by ich nie odróżnił. Tak samo smakowały.

Na lewej burcie brakowało sporego fragmentu relingu. Powyrywane stójki, związane w pęk, leżały na dnie kokpitu. Za burte zwisał skrawek parcianego pasa bezpieczeństwa. To chyba Richowi musiał się urwać, tak pomyślałam. I przeraziłam się: urwał się pas bezpieczeństwa? Przypomniały mi się jego poranione ręce. Już wiedziałam, w jaki sposób utrzymał się na pokładzie. To przecież żadna różnica, znaleźć się w oceanie z rękami albo bez. Z głową albo bez głowy. Czasem lepiej bez głowy.

Statków nie było widać. Jakies wielkie stworzenia, może delfiny, może orki, pokazywały grzbiety na skraju przelewających się fal. Znikały i pojawiały się. Nie wiem, co to było. Mimo wszelkich tłumaczeń, delfina od wieloryba odróżniam tylko na obrazku, albo w dobrej pogodzie, kiedy delfiny skaczą tak wysoko. Niektóre wieloryby też skaczą.

Należało zająć się pracą. Barometr doszedł do 986, log pokazywał 4 węzły. Szybkość trochę za mała, by żeglować spokojnie. Wyniosłam zrolowany kliwer, spojrzałam na bak. Tam wciąż kotłowała się gnilna ciężka woda, dziób niby czerpak wyszarpywał z uciekających zwałowisk połyskliwe czarne kęsy, które wiatr unosił, skręcał porywami w kolorowe lejki. Lejki zwalniały, rozsypywały się chłodnym prysznicem. Umęczony dzień nie wykazywał szczególnej odwagi, ściśnięty w imadle niskiego nieba i wysokiego oceanu. Jedynie w tych lejkach, tryskających na dziobie, ożywała tęcza.

Posuwałam się do przodu uważnie, łapiąc się relingów. Dopiero w koszu dziobowym, zaklinowana plecami, poczułam się bezpiecznie. Przymocowałam róg kliwra do podwiewi, następnie do fału, przyszeklowałam szoty. Kabestanem fałowym podciągnęłam żagiel, wróciłam do kokpitu. Za chwilę kliwer pracował wraz z fokiem, „Cinderella” przyspieszyła. Żeby postawić grotżagiel, nie mogłam się zdecydować. Może sama nie dałabym rady go postawić.

Szliśmy na lewym halsie, cały czas w kierunku Hamilton. Nie znałam dokładnej pozycji, lecz nieco skorygowałam kurs. Słaby wiatr wiał z południa, może trochę z zachodu, poprzecznie do fal. Często zamierał, potem pośpiesznie dmuchał. Fale nadchodziły niezłomnymi rzędami, jak gdyby nigdy nie miały się uspokoić i zasnąć. Odchodziły tam, dokąd odszedł sztorm. Smok, który nas nie połknął. Najpierw minęły nas jego zionące paszcze, potem okropne cielsko z pazurami, konwulsyjny ogon — pozostaliśmy starmoszeni w jego kilwaterze. Wiadomo było, dało się wyczuć, że ten smok gdzieś tam daleko zdycha.

Ogarniała mnie przytulna świadomość bezpieczeństwa.

Który to raz na tym oceanie? Łatwo było policzyć: piąte przejście Atlantyku. Tylko za pierwszym razem, dla zachęty, aby mnie nie przerazić, przejście było spokojne, niemal sielankowe. Sielankowa była żegluga po morzu Karaibskim, wyspy sielankowe, w ogóle najspokojniejszy był ten pierwszy rejs, chociaż trwał najdłużej. Potem różnie bywało. Doszłam nawet do wniosku, że przeżyłam wszystko groźne, czym dysponuje ocean. Ale teraz przekonałam się, jaki jest prawdziwy jego gniew. Nie pocieszam się, doskonale wiem, że ten gniew może być znacznie straszniejszy.

Przede wszystkim wiem, że bez Richa, jego odwagi i umiejętności, smok by z pewnością nas pożarł. Nie przeżylibyśmy, gdyby nie był z nami.

Wciąż mam przed oczami twarz Richa odcisniętą na szybie bulaju, dłonie zmaltretowane, bezlitośnie storturowane ciało. To cena naszego życia. Życia nas wszystkich. Rich zapłacił ją, jak człowiek bogaty płaci za bilet do kina.

Podobno każde ludzkie życie warte jest każdej ceny. Tak mówią ci, którzy nie wiedzą co mówią. Albo mają na myśli wyłącznie życie własne. Henry powiedział, że nie ceni swojego, bo już dokonał tego, czego miał dokonać. Czyżby więc nie był wart wysiłków Richa? A ja? Czy moje nieudane, pełne gorzkości życie było warte ochrony?

Wychodzi więc na to, że Rich wysiłał się dla samego siebie, dla nas tak tylko, przy okazji, bo nie miał innego wyboru. To uwalnia nas od wdzięczności, wystarczy premia do płacy. Rich ma na sprzedaż odwagę i umiejętności. Zmaltretowanie musi mieć wliczone w cenę, nieprawda?

Trzęsłam się, wylizywałam łyzy i słoną wodę. Nie wiem, czego było więcej. Zaczęłam rozumieć coś, co jest nie do zrozumienia, czego nie sposób zrozumieć nawet wtedy, kiedy się rozumie. Uświadomiłam sobie, że moje nieposkładane życie znalazło się w punkcie, od którego mogłoby stać się inne, lepsze i szczęśliwsze, gdyby — gdyby nie było takie właśnie, nieposkładane. Lecz gdyby nie było takie, nie doszłoby do tego punktu.

Jak sobie poradzić z tym niezrozumiałym zrozumieniem?

Zobacz także te strony:

[Demon Dean demoluje Karaiby](#)

Zbysław Śmigielski

Powieściopisarz, nowelista, aforysta, najrzadziej poeta. Laureat konkursów i nagród literackich. Uznany za marynistę. Był kapitanem jachtowym, instruktorem żeglarstwa, nieco powłóczył się po morzach, co ma wpływ na twórczość. Zajmuje się propagowaniem spraw morza na spotkaniach autorskich, szczególnie z młodzieżą. Interesują go także inne sprawy: historia współczesna, problemy społeczne, konflikty moralne - to, czym żyjemy na codzień. Ostatnia książka: [Sarmaty i scyty](#) (2007)

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 27-08-2007)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5529) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5529>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl